

ALAIN MABANCKOU***African psycho*****Tłum. Jacek Giszczak**

KRAKÓW, WYDAWNICTWO KARAKTER, 2009

Współczesna literatura afrykańska jest w Polsce niemal kompletnie nieznaną. Zachowawcza polityka panująca na rynku literackim zredukowała znajomość z nią praktycznie jedynie do twórczości niedawnego noblisty Johna Maxwella Coetzee. Dotychczasowy impas wydawniczy próbuje przełamać nowy gracz na literackim rynku – firma Karakter. Na pierwszy ogień poszedł pisarz rodem z Republiki Konga. Wydany pod koniec 2008 roku *Kielonek* zdobył serca zarówno krytyki, jak i czytelników (co niekoniecznie idzie w parze), a repeta z 2009 r. – *African psycho* – skutecznie sytuuje Alaina Mabanckou na miejscu nowego idola zbławianych licealistek i pretendujących do kreowania współczesnych trendów studentów. I bardzo dobrze, w końcu proza Mabanckou tryska humorem, świeżością i dyskretnym absurdem. Ta moda stanowi niejako odtrutkę na głęboko depresyjne, wypełnione traumą i niedostosowaniem, wysmienione swoją drogą, piśarstwo ostatnich medialnych ikon literatury – Michaela Houelebecqa czy Elfriede Jelinek.



„Postanowiłem zabić Germanie dwudziestego dziewiątego grudnia. Myślę o tym od tygodni, gdyż, cokolwiek by o tym nie mówić, zabicie kogoś wymaga zarówno psychicznego, jak i materialnego przygotowania. Sądzę, że odnalazłem już odpowiedni stan ducha, nawet jeśli wciąż nie zdecydowałem, jakim narzędziem dokonam tego czynu. Pozostaje jedynie rozstrzygnąć ów szczegół”. Tym monologiem głównego bohatera rozpoczyna swoją historię Mabanckou. Cytał trochę długi, ale fenomenalnie charakteryzuje głównego bohatera i wskazuje kierunek, w jakim przebiegnie opowieść. Pozostałe dwieście stron lektury to festiwal skrzyśnego planowania szczegółów zbrodni, równie skwapliwego wycofywania się z przedsięwziętych planów, litania wewnętrznych sporów i narastających wątpliwości, w końcu mierzenie się z wizją własnego, być może nieistniejącego w rzeczywistości „ja”.

Gregoire Nakobamoyo mieszka w ubogiej dzielnicy picie-wody-to-idiotyzm leżącej w bliżej nieokreślonym afrykańskim państwie. Już czas dzieciństwa nie sprzyjał naszemu bohaterowi – tuż po urodzeniu został porzucony w szpitalu przez matkę. Pozbawiony rodzicielskich uczuć, najpierw z przymusu, później coraz bardziej świadomie, przyjmuje edukację w ulicy, z którą nieuchronnie wiążą się: cwaniactwo i przemoc, ale też podskórny lęk, niepewność i nieustanne zagrożenie. Przez jakiś czas wydaje się, że los się odmienił – opiekę nad Gregoirem przejmuje „dobrze postawiona” w hierarchii społecznej rodzina zastępcza. Jednak krótkotrwały pobyt w ciepłym mieszczańskim gniazdku, mimo wielu, docenianych przez bohatera, pozytywów (jak nauka pisania i czytania czy pełny brzuch), przynosi rozczarowanie i ostateczne zdemaskowanie moralnej obudy klasy wyższej. Bohater powraca do naturalnego środowiska, na ulicę, którą „traktuje jak ojca i matkę z braku prawdziwych rodziców”, a równocześnie potrafi zachować pozory społecznej normalności: buduje własny, półlegalny dom, zakłada przyzwoicie prosperujący zakład samochodowy. Mimo że mentalnie głęboko wrosnięty w tkankę miasta, świadomie wybiera życie na jego marginesie, w pozornym uśpieniu. Tworzy figurę samotnego in-trowertyka wędrującego po dobrze sobie znanych, oznaczonych krwią i potem ulicach pełnych moralnego ścierwa, syfu i kurewstwa, ulicach tworzących „dzielnice, która stała się harfą dla całego kraju”.

Sfrustrowany, świadomy własnej małości, pełen kompleksów dotyczących fizycznego wyglądu (kanciasty łeb, wielkie, nieproporcjonalne dłonie), przepelniony nienawiścią do „tych lepiej urodzonych, tych, którym się udało” („nie cierpię ludzi pięknych, bo nic nie zrobili, żeby na to zasłużyć, i tylko społeczeństwo ogłasza, że są piękni”), ma świadomość przegrania swojego życia już na starcie. Ale i przegrany może marzyć o wielkich czynach, popularności i – jeśli nie o wzbudzeniu powszechnej sympatii – to przynajmniej przeżaleniu. Idolem Gregoire'a jest mistrz Angoualima – nieżyjący już legendarny seryjny morderca, który zyskał medialną sławę, a wspomnienie jego imienia po dzisiejszy dzień wzbudza strach i pewnego rodzaju społeczny szacunek. Zainspirowany jego dokonaniem bohater postanawia wkroczyć na drogę przemocy. Od tej pory jego grafik dnia wypełnia planowanie morderstwa Germanie – prostytutki przybyłej z „kraju naprzeciwko”. Tyle tylko, że zabić wcale nie jest tak łatwo, a i Gregoire okazuje się nie być urodzonym mordercą.

I tu ujawnia się uroda piśarstwa Mabanckou, podsztyta ironią przewrotność pomaga autorowi wygrać dość oklepany wątek na swoją korzyść. Bohater przedstawiony pierwotnie jako bezlitosny, działający bez cienia wątpliwości, pragmatyczny zabójca stopniowo ukazuje drugą, prawdziwą twarz: człowieka, owszem, pozbawionego niuansów natury moralnej, za to wewnętrznie słabego, niewytrzymującego ciężkiej nad nim psychicznej presji, psychokillera, którego każdy atak na świat zewnętrzny kończy się nokautem wewnętrznym. I nie pomoże robienie groźnych min ani seanse terapeutyczno-inspiracyjne na grobie mistrza Angoualima, spoczywającego na cmentarzu zmarłych-którzy-nie-mają-prawa-do-snu. Autor psychiczne męki rozlewa w czasie, napawając się w nieskończoność (początkowo nieświadomą) nieporadnością bohatera.

Pewnie myślicie, że zdążyłem już opowiedzieć całą fabułę *African psycho*. Nic bardziej mylnego. Zapewniam, że za pozornym nicniedzianiem się i rozchwianiem psychicznym Gregoire'a kryje się intensywność fabularna, którą można by spokojnie obdzielić kilka innych lektur. Dodatkową zaletą powieści jest jej lekki, ironiczny język neutralizujący odrobinę ciężką tematykę. Mabanckou bez taryfy ulgowej pokazuje biedę, przemoc i brak autorspektu współczesnej Afryki. Ze sfrustrowanej niesprawiedliwością społeczno-ekonomiczną dzielnicy picie-wody-to-idiotyzm tworzy luźną metaforę getta zamieszkanego przez ludzi pozbawionych równych szans rozwoju, udowadniając, że pomimo niesamowitego skoku cywilizacyjnego problem wykluczenia jest wciąż aktualny, a pozornie odległy trzeci świat jest na sąsiedniej ulicy, niezależnie od szerokości geograficznej, na której się znajdujemy. W *African psycho* słycać wyraźnie głos oskarżycielski skierowany w media promujące najniższe instynkty, a także kpnię z ogłupiałej publiczności niecierpliwie przebiegającej nogami w oczekiwaniu na kolejne krwawe szof. Jak u Mastowskiej: Devil tv czynne 24 godziny na dobę, bez powtórek, wszystko na żywo. Ale książka Mabanckou to przede wszystkim rzecz o ułudzie, gonieniu nieuchwytnych marzeń, w końcu o bolesnej konfrontacji urojeń dotyczących własnej osoby z realnym życiem.

Największą przyjemność kontaktu z prozą Mabanckou polega na jej wielowymiarowości i pozostawieniu otwartej całkiem szerokiej furty interpretacyjnej. Możemy ją czytać jako podszytą specyficznym humorem powieść sensacyjną lub gorzką, egzystencjalną rozprawę krytyczną. A to tylko dwa możliwe tropy, warto poszukać swojego.

I tylko nie można się uwolnić od pytania: Kogo tak naprawdę próbuje zabić Gregoire? Ciebie, siebie? A może mnie...

MARIUSZ RAJKIEWICZ